

# Swietłana Fiłonowa

---

## Pięćdziesiąt lat później

---

Palestra 40/1-2(457-458), 67-73

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## PIĘĆDZIESIAT LAT PÓŹNIEJ

Kiedy we wrześniu ubiegłego roku „Gazeta Wyborcza” napisała, że „Rosjanie nie dotrzymali żadnego z punktów umowy”, trudno było odmówić jej racji. Ale zdecydowana większość Rosjan nie miała o tym pojęcia, podobnie jak i o tym, że oni w ogóle z kimkolwiek o cokolwiek się układali.

Jeżeli w latach 1990 i 1991 o Katyniu pisały niemal wszystkie nasze gazety, to w zeszłym roku, aż po lato 1995 roku, nie mogłabym uskarżać się na nadmiar konkurentów do tego tematu. Przy czym usiłowania naszych polityków, aby temat Katynia wywieść spod kontroli prasy, zbiegły się z obojętnością moich kolegów, którzy w świętej naiwności odpowiadali mi:

– Co jeszcze nam możesz powiedzieć o Katyniu? Przecież już wszystko zostało powiedziane.

Nielatwo jest wytłumaczyć, że poważna, rzetelna dyskusja o Katyniu jeszcze się nawet nie zaczęła, że w pojęciu Katynia kryje się wciąż bardzo ważna tajemnica: prawda o nas samych. Już teraz jak w otwartej księdze można w nim odczytać symptomy wielu naszych zastarzałych chorób i znaleźć klucz do odwiecznych, a przekłęcie aktualnych problemów. I jeśli Katyń do dziś nie dokonał przewrotu w świadomości moich rodaków, to dlatego właśnie, że jego lekcji niewielu chciało wysłuchać.

W końcu kwietnia ub.r. w „Rosyjskiej Gazecie” ukazał się artykuł p. Bragina, przewodniczącego Komitetu Koordynacyjnego Rosyjskiej Federacji do spraw upamiętnienia ofiar Katynia i Miednoje, którego fragment chciałabym tutaj przywołać: *Obecnie powstała pilna konieczność podjęcia ze strony Rosji wszechstronnych, politycznych decyzji w tej sprawie. Bo, jakkolwiek może to się wydać dziwnym, obok tych wszystkich godnych uznania kroków, poczynionych w ostatnich czasach na rzecz zdemaskowania tej zbrodni, podstawowego polityczno-prawnego i historyczno-etycznego dokumentu nowej Rosji (dekretu prezydenta, oświadczenia rządu lub czegoś podobnego), oceniającego z pozycji współczesnych pojęć dialektykę, istotę i następstwa zbrodni popełnionej w Katyniu i w Miednoje, do tej pory nie mamy.*

Trudno się nie zgodzić. Może warto tylko dodać, że owe „godne uznania kroki poczynione w ostatnich czasach” kosztowały ogromnie dużo wysiłku, co także, na pierwszy rzut oka, nie daje się racjonalnie wytłumaczyć. Komu potrzebna była niezręczna koncepcja wspólnego pomnika „wszystkim ofiarom stalinowskich represji”? Po co było powiększać hańbę Rosji, próbując uniemożliwić pracę polskim ekspertom, czyli, praktycznie, przeszkodzić ludziom w pochowaniu swoich zmarłych (bo tak to naprawdę wyglądało)? Co miało oznaczać oświadczenie szefa smoleńskiej administracji, p. Głuszenkowa, przekazane przez miejscowe radio: *...To, o co prosi i czego domaga się strona polska, w żaden sposób nie jest do przyjęcia dla Rosyjskiej Federacji... Urządzać wojskowy pogrzeb dziś, w 50-lecie Zwycięstwa, to ja już bardzo przepraszam! Nie te sposoby i nie te czasy!*

Dziennikarze w Smoleńsku stracili dech z oburzenia: jaki związek ma zbrodnia katyńska ze zwycięstwem nad faszyzmem?!

A zatem odpowiedzmy – jaki?

Obiecywały nam prawdę o wojnie gazety, telewizja, rozprawy uznanych w społeczeństwie historyków – codziennie. Istotnie, ujawniono mnóstwo nie znanych dotąd faktów, najczęściej gorzkich; w sumie jednak nie kłóciło się to z ogólnym wnioskiem, jakim obdarzył nas prezydent, otwierając 9 maja tego roku uroczyste posiedzenie na Kremlu:

– Cały świat oklaskiwał rosyjskiego żołnierza, podziwiając jego czyn.

Może i oklaskiwał, zaprzeczyć nie jestem w stanie, jeszcze nie było mnie wtedy. Ale nie mogę też przyklasnąć komuś, kto jest tak bardzo na bakier z logiką formalną, że – zrobiwszy karierę na walce z komunistycznym systemem, wyniesiony na prezydencki fotel falą ludowego gniewu – oczekuje łez wdzięczności za to, jakim to szczęściem obdarzył „rosyjski żołnierz” pół Europy.

Nie wywołuje we mnie zachwyty także skojarzenie tych dwu słów „rosyjski żołnierz”, zwłaszcza wówczas, gdy próbuje zmieścić w sobie zarówno marszałka Rokossowskiego, jak i szeregowców z karnych batalionów, tych, którzy prosto z Berlina kierowani byli do obozów, i tych, którzy ich tam konwojowali. Być może, gdzieś pod innym niebem byłoby w tym coś z trudnej poezji, ale w Rosji wszystko to pachnie krwią, fizycznym unicestwieniem, gdy nie wpisuje się w oczekiwany, strasznie prymitywny w zamyśle obraz.

I wreszcie, wydaje mi się, że trzeba temu podziwiającemu nasz wojenny czyn światu to i owo uściślić.

Nie chodzi, oczywiście, o to, żeby domagać się, abyśmy ujawnili jakieś tam tajemnice, które w swojej zdecydowanej większości są już tylko tajemnicami poliszynela; wystarczy, żeby zobaczyć, jak wygląda naprawdę ten – powtarzam – powszechnie znany widoczek z okna architektonicznej struktury, wznoszonej od dziesięciu lat pod nazwą „pierestrojki”.

Armia radziecka rozpoczęła działania wojenne 17 września 1939 roku. To, jak sądzę, nie podlega dyskusji. Rzecz tylko w tym, co – z naszego dzisiejszego punktu widzenia – ona w tym czasie czyniła. Czy wspólnie z Hitlerem podbijała Polskę, należycie wykonując zawarte wcześniej porozumienie, czy stanęła jedynie w obronie Ukraińców i Białorusinów? Jest to pytanie wielce aktualne, biorąc pod uwagę sukcesy w przedwyborczej walce Kongresu Rosyjskich Wspólnot, na czele której stoi Jurij Skokow, rwący się do obrony interesów ludności rosyjskiej w państwach ościennych, choć jeszcze nie wiadomo jak i czym.

Zawsze bezsporny był fakt, że z hitlerowcami walczyli nie tylko komuniści i że, z kolei, dalece nie wszyscy walczący z komunizmem pozostawali w „przestępczym związku z nazi-zbrodniarzami”. Warto zatem zastanowić się nad tym, jak my, współcześni, którzy oddaliśmy tyle sił walce z faszyzmem, traktujemy dziś tych, co znaleźli w sobie dość męstwa do walki równoległej – z faszyzmem i z komunizmem. Kim są dla nas na przykład członkowie AK?

W lecie 1994 roku na cmentarzu Klasztoru Dońskiego odbył się symboliczny pogrzeb generała Okulickiego i ministra Jasiukiewicza. Cichutko, niemal skradając się, zjawili się tam jedynie bliscy, przedstawiciele ambasady polskiej i kilku członków moskiewskiego Memoriału.

Rozumiem, szerokie nagłośniecie sprawy mogło wywołać uzasadnione zaciekawienie naszych obywateli: skąd się wzięli, na dobrą sprawę, ci dwaj członkowie polskiego rządu w więzieniu na Butyrkach i jak to się stało, że jeszcze czternastu ich kolegów sądził radziecki sąd? A wtedy trzeba by albo się zgodzić z motywacją stalinowskiego prawa, albo wyraźnie (nie w wierszach i nie w pieśniach) określić nasze obecne zasady prawodawstwa, które regulowałyby zarówno wewnętrzne życie w naszym kraju, jak i stosunki ze światem zewnętrznym, a w szczególności dopuszczalne formy wyrażania sympatii lub antypatii wobec rządów naszych sąsiadów.

Zapewne jeszcze nie jutro będziemy mieli w pełni jasną odpowiedź na pytanie, w czym Rosyjska Federacja jest spadkobierczynią i następczynią Związku Radzieckiego, a w czym nie. Nie ma jednak wątpliwości, że młoda Federacja u śmiertelnego łoża Związku przysięgła jak żrenicy oka strzec tego, czego nawet wraz z wywiady nie były w stanie wytropić, a mianowicie tajemnicy naszych ideałów.

Na temat rekinów imperializmu wiemy wszystko. Jego nawyki, jego płetwy i organy wewnętrzne zostały dokładnie opisane. Ale jak wygląda ów ptak szczęścia, za którym uganiał się przez siedemdziesiąt pięć lat, nie wie nikt. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę z estrady, z kina, z książek i środków masowego przekazu płyną informacje przypominające nam o grozie wojny. Obrazy pokojowego życia natomiast, jeśli nawet pojawiają się w tej rozległej, antywojennej twórczości, to jedynie jako sny i marzenia żołnierzy w przerwach między bojami.

Jest pięćdziesiąt lat po wojnie, a kraj nadal żyje wedle prawideł czasu wojennego, wszystko mierząc wojenną miarą, na wszystko odpowiadając uniwersalnym argumentem: „Ale za to wygraliśmy wojnę!”

Rozglądając się wokół siebie, patrząc na tę rozciągniętą na pół wieku powojenną ruinę, na żony tak podobne do swoich bohaterskich babek, które podczas wojny umiały zaprząć się do pług, odprowadzając rodaków w drogę do Afganistanu lub do Czeczenii, wszystko akceptując, na wszystko się zgadzając, gotowy ponosić kolejne ofiary, z których, jego zdaniem, żadna nie jest nazbyt wielka, rosyjski człowiek szepce zbielełymi wargami: „Byle tylko nie było wojny”.

On się zaczyna bać wojny nie od chwili narodzin, ale już na trzy minuty przed poczęciem. Ten strach paraliżuje jego wolę, pozbawia możliwości trzeźwej oceny sytuacji. Ale za to wynosi nasze nieskładne życie ku poziomowi świętej misji.

Idea wyzwolenia światowego proletariatu miała poważny brak – była całkowicie wymyślona; a przy tym jeszcze wymyślona bez polotu. Przecież mieliśmy do czynienia ze zjawiskami także prawdziwymi. Wojna rzeczywistość była straszna, hitlerowski faszyzm był rzeczywistość ogromnym złem, zagrażającym całemu światu. A walka rzeczywistość była ostateczna. I prawdą było, że nasz wielki kraj całe swoje życie podporządkował tej walce, nie licząc się z żadnymi stratami i ofiarami. Nieprawdą było tylko jedno: plakatywne czarno-białe wyobrażenie tej walki jako zmagania wszechplaneta- rnego zła z światowym dobrem. Na tym tle radziecki (obecnie rosyjski) żołnierz był już nie bojownikiem, nawet nie zwycięzcą, lecz wręcz antytezą zła, ziemskim uosobieniem odwiecznego dobra. W ten sposób pytanie, czym jest dobro, uzyskuje dość nieoczekiwaną odpowiedź: jest tym, co my robiliśmy i robimy.

Katyń stał się trwałym, pozadyskusyjnym dowodem tego, że Polska jako pierwsza zrozumiała, że diabeł wyciągnął do świata dwie ręce, czerwoną i brunatną, przy czym konieczność uściśnięcia jednej z nich nie musiało przemieniać jej w skrzydło anioła. Jedna z największych zbrodni drugiej wojny światowej, Katyń, nie tylko ukazywała, nie tylko demaskowała cynizm hasła o „braterskiej przyjaźni polskiego narodu z radziecką armią-wyzwolicielką”, lecz wiodła do podważenia samej zasady propagandy, zagrażając najgłębszym fundamentom tej całej mesjanistycznej ideologii.

Jakub Dżugaszwili, syn Stalina, wyznał kiedyś: *Nie rozumiem, skąd tyle hałas wokół kilku tysięcy rozstrzelanych Polaków. W czasie kolektywizacji na Ukrainie zginęło trzy miliony ludzi.*

– No właśnie! – odchrząknęła po pięćdziesięciu latach nowa, demokratyczna Rosja i pilnie wzięła się za ukazywanie jeszcze jednej zbrodni, teraz już przeciwko rosyjskiemu narodowi. A dokładniej, nie tylko rosyjskiemu.

– W katyńskim lesie leżą także Białorusini, Ukraińcy i Żydzi – pamięć-

tam, jak wymieniał ich wibrującym z patetycznego wzruszenia głosem przewodniczący smoleńskiej obwodowej administracji, p. Nowikow. – Tu pod każdą sosną spoczywają ludzkie szczątki.

Zgódźmy się: nie każdy wpadłby na pomysł, by honor ojczyzny ratować przypominaniem, jak wiele ludzi różnych narodowości zginęło z naszych rąk. No, ale tak właśnie się zdarzyło. Pośpiesznie sporządzono listy rozstrzelanych przez smoleńskie NKWD. O masowych grobach w Katyńskim lesie (nie polskich) skrupulatnie informowano lokalną i centralną prasę.

O tym, że NKWD rzeczywiście rozstrzelało tam około dziesięciu tysięcy ludzi, nie wątpię, nie zdziwiłabym się, gdyby ich było więcej. W to, że w katyńskim lesie pod każdą sosną spoczywają ludzkie szczątki, również. Katyń zawsze, jeszcze przed rewolucją, był miejscem męczeństwa i grzebania ofiar. Pozostaje wyjaśnić, jaki związek wewnętrzny zachodzi pomiędzy tymi faktami.

Ale nie starczy już na to czasu. Nie będzie go też dość, żeby przynajmniej dokładnie określić miejsce pogrzebania. Pomnik „wszystkim ofiarom stalinowskich represji” musi być za wszelką cenę wzniesiony przedtem, nim powstanie polski cmentarz wojenny, by zasłonić go sobą – i w tym jest istota sprawy.

W podobnych próbach organizowania politycznych manifestacji po drugiej stronie życia jest nawet coś wzruszającego. Ale tam, za kreską, nie uznaje się wieców. Tam nie można wjechać na czołgu, nie da się zbrodni nazwać czynem, ani swoje cudzym i cudze swoim – stamtąd wszystko nazbyt jasno się widzi. Dlatego i tu, na ziemi, rezultat tych zabiegów jest wprost przeciwny do założonego.

Ci, którzy w założeniu powinni byli odczuć wielką patriotyczną dumę, albo już sama nie wiem co, w każdym razie coś w tym rodzaju, trafiając do Katyńskiego lasu byli wstrząśnięci uczuciem dziwnie podobnym do zazdrości. Była to zazdrość wobec ludzi, którzy zostali zabici z okrucieństwem wykraczającym poza granice ludzkiej wyobraźni, zwłoki których były profanowane, ale którzy pozostali ludźmi: kochanymi, niezastąpionymi, związanymi tysiącem nici żywego pokrewieństwa ze swoim narodem.

– Gdyby tak naszych... odkopywano...

To zdanie, prawie w tym samym kształcie słyszałam od każdego, kto zeszedł lub tego lata obserwował pracę polskich ekspertów, od żołnierzy pomagających archeologom podczas wykopalisk (może dlatego ich tak często zmieniano), od mieszkańców Smoleńska, a także od kolegów dziennikarzy.

I było jakby początkiem nowego, na razie jeszcze mętnego odkrywania świata. Teraz już nie dało się uniknąć spojrzenia na te niezliczone bratnie mogiły nieznanymi żołnierzy, pomniki bezimiennych ofiar naszych obec-

nych politycznych wrogów, wyrosłe tak, jak będzie wzniesiony pomnik katyński – w dokładnym, dosłownym sensie tego słowa – na szczątkach ofiar – jakby na logiczne zakończenie ziemskiego bytowania „ludu pracującego”. Bez imienia, bez jakiegokolwiek charakterystyki, jakby im się to nie należało ani za życia, ani po śmierci. Wystarczająco określono rodzaj, w jaki zostaną wykorzystani w bieżącej historycznie chwili. „Budowniczości komunizmu” z zadziwiającą łatwością stali się „ofiarami totalitaryzmu”. Ofiarami bezwolnymi i niemymi, nawet nie zdającymi sobie sprawy, co z nimi się wyprawia, jak stają się ślepych narzędziem, takim brukowym kamieniem proletariatu. I zgodzili się na tę rolę, nie czując już żadnego upokorzenia.

Ale jeśli tak się zdarzyło naprawdę, na co można liczyć w przyszłości? Czy tylko na to, kolejny właściciel „twardej ręki” okaże się po prostu dobrym człowiekiem? Że nie będzie już nikogo kruszyć na tłuczeń, lecz ułoży prawidłowo w rzędy lub rzuci niczym brukowcem w dokładnie wymierzony cel i nie chybi (ten ostatni obiecywał wykorzystać to wszystko na fundamenty demokracji).

Ja nie robię sobie iluzji. Do prawdziwej skruchy, takiej jak się ją rozumie na Zachodzie, to znaczy do zdolności uświadamiania sobie swoich błędów i znajdowania ich przyczyn, jest jeszcze bardzo daleko. To jeszcze nie jutro stanie się rzeczą naturalną odczuwanie odpowiedzialności za to, co się dzieje wokół i za nasze współuczestnictwo we wszystkim, co się stało w 1917 roku i wcześniej. Zapewne nieprędko wraz z wiarą, że my Rosjanie jesteśmy narodem na tyle utalentowanym, że energia tego talentu, akumulując się, rodzi co pewien czas to Puszkina, to Czechowa, pojawi się potrzeba zrozumienia, w jaki sposób ta sama energia, zebrana obecnie w duszy narodu, mogła dać nam Lenina, katyńskich zbrodniarzy i wiele, nazbyt wiele innych okropieństw. Oczywiście, na razie pozostaje nie rozstrzygnięte pytanie, co my, spadkobiercy Katynia zechcemy i potrafimy przejąć: krwawe szaleństwo, bezmyślne okrucieństwo wściekłego zwierza, czy nagłe olśnienie na chwilę przed końcem, a nawet już po nim, kiedy to wszystko nieoczekiwanie pojawia się w prawdziwym świetle, ale kiedy już niczego nie da się naprawić i pozostaje już tylko przejmująca nadzieja, że ci, którzy przetrwali na ziemi, postarają się jednak to i owo zmienić, zatrzymać w locie już wyrzucony bumerang zła...

przełożył: *Eugeniusz Kabatc*

**Nota o Autorce:**

*Swietłana Fitonowa, dziennikarka. Do 1991 roku korespondent gazety „Sowietskaja Kultura”. Głównym tematem jej zainteresowania była polityka narodowościowa Związku Radzieckiego, zwłaszcza sytuacja na Litwie, Łotwie i w Estonii.*

*Od 1991 roku współpracowała z różnymi wydawnictwami, koncentrując swoje zainteresowania na zagadnieniach religii i Kościoła, zwłaszcza Kościoła zachodniego.*

*W swej pracy kierowała się wiarą, dając jej wyraz w publikacjach, że postateistycznej Rosji niezbędne jest doświadczenie Kościoła katolickiego i jego umiejętności dialogu z ludźmi o różnych poglądach.*

*Jak mówi sama Swietłana Fitonowa: iluzja prysnęła, pozostawiwszy na pamiątkę potrzebę pozostania „podwórkowym psem” wolnego sumienia.*

*Od 1993 roku do chwili obecnej redaguje tematyczną kolumnę „Mirianin” tygodnika „Rossija”.*

*Artykuł pt. „Pięćdziesiąt lat później” został przygotowany specjalnie dla Czytelników „Palestry”.*